

A photograph of a tree trunk with a large, irregular hole in it. The tree bark is covered in green moss. The background shows a pale sky and bare tree branches. The entire image is framed by a yellow border.

BRUNO JASIEŃSKI

**Nogi
Izoldy
Morgan**

Bruno Jasiński

Nogi Izoldy Morgan

Powieść opatrzona wstępem autora

.....

Fundacja Festina Lente

Karze za karę. Exposé

„I widzę dziś duszą chorą.
wpatrzony w nieba skrawek,
żem był olbrzymią maciorą
z milionem maleńkich brodawek.”
Foot-ball wszystkich świętych

Czuję, że tym razem bez przedmowy się już nie obejdzie. Spróbujmy to zrobić możliwie spokojnie.

Stosunek publiczności polskiej do mnie zarysował się w ciągu tych kilku lat zupełnie wyraźnie i niepowszednio i wymaga komentarzy. Bywali dotychczas u nas autorowie lubiani i nielubiani, popularni i niepopularni, uwielbiani i obojętni. Te kategorie autorów tworzyły i tworzą tzw. literaturę. Ale obok tej literatury „oficjalnej”, jakby poza jej nawiasem, każda epoka ma swoich *poètes maudits*, o których mówi niechętnie, na marginesie, z wyraźną nienawiścią. Nic na to poradzić nie można. Są to zwykle barbarzyńcy, nie rozumiejący tej wyrafinowanej gry, jaką jest tzw. literatura lub uparcie udający, że jej nie rozumieją.

Wyobraźmy sobie, że do pewnego światowego towarzystwa, zabawiającego się nawzajem jakąś bardzo subtelną komedią, wejdzie człowiek niepoinformowany lub, co gorzej, po prostu źle wychowany i zacznie wszystko traktować na serio. Oczywiście cała zabawa psuje się, towarzystwo zabiera zabawki i odwraca się tyłem do nieproszonego gbura.

Tak było zawsze.

Zdarza się że późniejsze epoki stawiają tych ludzi źle wychowanych na piedestał i uważają ich właśnie za wyrazicieli swego pokolenia, nie troszcząc się bynajmniej o resztę obrazonego przez nich towarzystwa.

Czasami stosunek ten w ogólnych zarysach pozostaje niezmiennym. Zależy to od tego, czy ludzie ci występowali w imieniu jakiejś niewątpliwej dla nich prawdy, czy czynili to jedynie ze snobizmu *pour passer le temps*.

Przykłady: Chrystus i Oskar Wilde.

Pozostawmy historii, do jakiej z tych dwóch grup zaliczą nas. Spory na ten temat prowadzone w naszej prasie od dwóch lat z górą są co najmniej bezowocne i jałowe.

Kiedy w sierpniu roku 1921 w Zakopanem wracałem z wieczoru, na którym czytałem swoje najlepsze wiersze, odprowadzany przez słuchaczy przez całą długość Krupówek (od Morskiego Oka do Trzaski) gradem kamieni, dostatecznie dużych, aby rozplątać głowę przeciętnego, a nawet nieprzeciętnego śmiertelnika (niestety było zbyt ciemno), myślałem o tym, że opinia elity publiczności naszej, wyrażona doraźnie po tym wieczorze, była dla mnie na ogół... zbyt pochlebną. Ukamienowanie w roku 1921 nie wchodziło bynajmniej w zakres moich ambicji. Byłem po prostu zażenowany, jak zbyt chwalony autor. Przechodząc w myśli to, co dotąd zrobiłem, musiałem ze wstydem przyznać, że zrobiłem właściwie bardzo mało i że publiczność stanowczo mnie przecenia. Taką jednakże już jest publiczność, że umie nagradzać swych ulubieńców ponad ich zasługi. I ma to swoją dobrą stronę. Autor bowiem, któremu dane było przeżyć taką chwilę zażenowania, na pewno wyteżył swoje siły i nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei. Dlatego, mimo iż w istocie literaturze polskiej tak dalece się nie zasłużyłem, wdzięczny jestem za ten wieczór publiczności zakopiańskiej. Uświadomił mi on jeszcze raz w którą stronę muszę iść, aby nie zablądzić. I jeżeli kiedyś (na co są zresztą wszelkie szanse) dane mi będzie przeżyć po raz drugi wieczór podobny, jestem pewien, że nie odczuję już tej upokarzającej hojności.

Wrogie manifestacje po różnych miastach Polski, policyjne zrywanie moich wieczorów w Warszawie, konfiskaty, interpelacja radnych miasta Krakowa w sprawie nieudzielenia więcej zgody na moje wieczory Teatru Miejskiego, administracyjne wydalenie mnie z Krynicy, gdy chciałem urządzić tam swój wieczór, ponieważ pobyt mój „w interesie Rzeczypospolitej” uznano za „niepożądany”, chroniczne zdzieranie przez publiczność i posłów (Dymowski) moich plakatów, wysiłki młodzieży akademickiej narodowo-demokratycznej celem niedopuszczenia do moich odczytów we Lwowie itp. — były dla mnie dotąd wiechami, wskazującymi mi, że z drogi właściwej nie zboczyłem.

Publiczność byłaby zatem niesprawiedliwą sądząc, że nie doceniam jej roli w moim rozwoju twórczym. Przeciwnie, jest ona stałym regulatorem mojej twórczości, czymś w rodzaju klapy bezpieczeństwa, regulującej wartość produkowanych przeze mnie rzeczy.

Rzucając na rynek nową książkę moją, uważałem za konieczne zaopatrzenie jej w coś w rodzaju moich prywatnych *confessions* z kilku przyczyn.

Książka ta różni się nieco charakterem od mej dotychczasowej twórczości, znanej P. T. szerokiej publiczności. Stąd oczywiście proste konsekwencje o załamaniu linii, o nowej fazie, „sprawicowieniu” literackim itd. Tych ludzi właśnie chcę z góry uspokoić.

Książka niniejsza, jak mało która, leży bezpośrednio na linii mojej twórczości i jest poniekąd bilansem pewnego drobnego jej okresu.

To, że jako formę wybrałem w tym wypadku powieść, jest zupełnie zrozumiałe.

1° Głosząc hasła demokratyzacji sztuki trudno jest ominąć powieść, jako taką, ponieważ na 15% czytającej u nas publiczności na pewno 14,75% czyta jedynie beletrystykę, a dopiero 0,25 — poezję.

2° Zabierając się do oczyszczania z gnoju sztuki polskiej, niepodobna nie zawadzić o tę jej gałąź, ponieważ jest najbardziej zagnojona.

Nie twierdzą, aby książka niniejsza miała być przykładem, jak należy pisać powieść współczesną, ale jest ona z pewnością przykładem, jak już obecnie pisać powieści nie wolno. (Dowcip, jaki ci się nasuwa w tym miejscu, kochany czytelniku, dowodzi tylko twojej naiwności).

Wbrew wszystkim moim wydawcom, płacącym od arkusza, powieść ta ma właśnie tyle stron, ile ma (nie mniej i nie więcej) i jest w architekturze swej żelazo-betonowa. Tasiemce powieściowe, urągające zasadom elementarnej konstrukcji należą już, miejmy nadzieję, do bezpowrotnej przeszłości. Powieść dziś musi przestać już być opowiadaniem o pewnych faktach wywołujących dopiero w następstwie u czytelnika pewne stany psychiczne, odpowiadające tym faktom. Droga ta jest z gruntu fałszywa i celowa tylko w stosunku do czytelników o bardzo prymitywnej organizacji wewnętrznej.

Powieść współczesna poddaje konsumentowi pewne zasadnicze stany psychiczne, na podstawie których czytelnik konstruuje sobie szereg odpowiadających tym stanom faktów. Dlatego fabuła dla każdego czytelnika może się tu ułożyć inaczej i na tym polega jej niewyczerpane bogactwo.

Temat w danym wypadku sensacyjny i per-e-wers nie ma jako taki znaczenia. Jest on o tyle tylko makabrycznym, o ile makabrycznym staje się każdy problemat, jeśli zechcemy domyśleć go do końca. Spróbujmy zastanawiać się przez godzinę nad domem, koło którego przechodzimy codziennie nie zauważając go zupełnie, a dom ten urośnie dla nas powoli do rozmiarów upiornych. Tak samo przez zbyt długie wpatrywanie się w jeden punkt zacierają się w oczach naszych kontury realne i możemy zobaczyć w miejscu, gdzie przed chwilą stała statuetka, krowę w żakiecie i Chińczyka.

Przyspieszony rytm życia współczesnego, zdążającego z nieubłagalną logiką, jak po równi pochyłej, do pewnego wytyczonego punktu z szybkością

rozpędzonych transmisji, stworzył zupełnie nowy rodzaj realności — realność rozpalonej do białego stali, chwiejącą się już na granicy halucynacji.

Tym jest ta książka.

Jest jeszcze krytyką pewnego bardzo charakterystycznego momentu świadomości współczesnej, który nazwałbym świadomością futurystyczną, jako rezultatu ostatnich lat kilkunastu.

To wszystko, co chciałem o niej powiedzieć.

Tak zwana dwoistość treści przeprowadzona jest tu zupełnie świadomie i konsekwentnie, wobec czego uprasza się P. T. krytyków o nieodkrywanie tej Ameryki.

Nogi Izoldy Morgan

„Ach, i cóż to za nóżka.”

„Nóżka troszkę spuchnięta...”

Dostojewski: *Bracia Karamazow*

„To się stanie jednego popołudnia czy ranka...”

Jasieński: *Ballada o tramwajach*

1.

Kiedy czternaście par zdenerwowanych rąk gołych i urękawiczonych wyciągnęło wreszcie spod przedniego pomostu tramwaju numer 18 okrwawione ciało Izoldy Morgan z okropnymi, wlokącymi się na taśmach kilku ścięgien, obciętymi poniżej pachwiny nogami, wszyscy ci ludzie doznali nagle nieprzyjemnego uczucia popełnionego nietaktu.

Dziewczyna miała lat 23, duże kasztanowe włosy rozsypane w nieładzie, twarz nieskazitelnie piękną i smukłą, cudowne nogi, sięgające w biodrach nieomal wysokości piersi — nieomylny talizman kobiet rasowych. Wszystko potem stało się aż nazbyt pospiesznie.

Przyjechało pogotowie i odjechało, zabierając w swym wnętrzu cały incydent. W godzinę później obie nogi były już amputowane, a wieczorem chora, umieszczona w oddzielnej separacie klinicznej, spała już ciężkim, bezwizyjnym, pokrzepiającym snem.

2.

Berg, bawiący tego tygodnia w innym mieście, zawiadomiony został o zajściu dopiero na drugi dzień listem niewyraźnym i krótkim, wspominającym o jakimś wypadku i wzywającym go natychmiast.

Zgiełk peronu, trzaskanie drzwiami, zapach świeżej farby, skaczący kalejdoskop drzew na diafragmie okna, jak paciorki różańca nawleczone na nitkę głuchego, tępego niepokoju osunęły się w głąb długą, prostopadłą rysą.

Kiedy zameldowany lekarzowi dyżurnemu słuchał suchych, technicznych relacji, był już zupełnie spokojny.

Po ukończeniu wyjaśnień poprosił o pozwolenie widzenia się.

Do separatki wszedł w towarzystwie lekarza.

Chora nie spała.

Leżała na wznak z oczyma szeroko otwartymi.

Berg stanął u nóg. Przygotowany był, że trzeba będzie coś powiedzieć, ale w tej chwili nie mógł sobie właśnie przypomnieć nic odpowiedniego.

(... ciężkie, puszyste świece kasztanów w długiej bezwzględnie prostej perspektywie, chłodny, wilgotny smak ust opartych o usta, ciepło drobnej ręki odczuwanej przez zamsz rękawiczki... — pamiętasz?..)

Spróbował się nawet uśmiechnąć, ale oczy jego padły w tej chwili na obwisłą linię kołdry, modulującej niepojętą próżnię poniżej biodr.

(... Boże, Boże, tylko nie myśleć...)

Jakaś lepka, słodka ciecz podeszła mu do krtani.

I znów kasztany i znów smak wilgotnych ust i długa, wąska noga, wynurzająca się z słonecznej piany sukienek.

(...ciiicho, przecież nie będę krzyczał...)

Jaką zabawną minę ma doktor. Lewy wąs mu opada, jak u chrabąszcza, a na końcu nosa malutki pryszcz.

I wtedy spotkał jej oczy, oczy wylękłego, skatowanego psa (...u ojca, na podwórzu — potopili mu szczenięta...), jakby żebrzące o litość, wpatrzone w niego z naprężonym wyczekiwaniem.

Poczuł, że pod tym wzrokiem miesza się, że rumieni się, jak sztubak, że stoi tu już parę minut, że trzeba nareszcie coś powiedzieć, i że on przecież nic nie powie.

I nagle zachciało mu się uciec.

(... na ulicy ludzie, dorożki, turkot, tramwaje trrr...)

Dlaczego ten doktor ma taką dziwną minę? O, tu jest klamka, teraz tylko do siebie.

Sadził po schodach po cztery stopnie na raz, dopóki nie znalazł się na ulicy wmieszany w pstry, rozgorączkowany tłum.

Upadł czerwony, rozpalony, jak płachta. Okrągła, okrągła skończoność. I nad rozdętym „i” miasta olbrzymia kropka słońca.

Ludzie biegli, szli, popychali się, warczały auta, dzwoniły tramwaje, wypluwały i polykały na przystankach nowe transporty ludzi i mijały go z jednostajnym zgrzytem szlifowanych szyn.

3.

Późno już wieczorem do starszego sanitariusza kliniki Tymoteusza Lerche, starego barczystego wygi o ospowatej twarzy i ryżym zaroście, zgłosił się młody, przyzwoicie ubrany człowiek, który odwoławszy go na stronę, kręcąc w palcach banknot 500-frankowy, zapytał go, czy nie byłby skłonny wyrządzić mu pewnej przysługi.

Tymoteusz Lerche zapewnił nieznanego, że jest całkowicie do jego dyspozycji.

Wtedy ten, ująwszy go przyjaźnie pod ramię, wyjaśnił, że jest krewnym przywiezionej tu przed dwoma dniami Izoldy Morgan, ofiary wypadku tramwajowego, i że chciałby, o ile to jest możliwe, (banknot zaszeleścił w tym miejscu obiecująco) otrzymać obie amputowane nogi swej kuzynki.

Tymoteusz Lerche nie wyraził najmniejszego zdziwienia, pochylił posłusznie głowę na znak, że rozumie, zastrzegł się tylko, że nie wie, czy członki żądane nie zostały już wyrzucone razem z innymi odpadkami, po czym oddalił się, wskazując przybyłemu krzesło.

Po dwudziestu minutach powrócił, niosąc pod pachą wielkie, podłużne pudło, zawinięte starannie w szary papier. Paczka mogła uchodzić łudząco za pakiet z modnego magazynu konfekcji, a różowa wstążeczka, którą była owiązana, nadawała jej wygląd wykwintny.

Tymoteusz Lerche podał w milczeniu paczkę przybyłemu. 500 fr. utonęło w jego chałacie. Po czym zapytał jeszcze, czy nieznanomy nie rozkaże chłopcu odnieść sobie pakietu do domu.

Przybysz jednak nie skorzystał z pomocy służby, ale ująwszy paczkę pod ramię, wyszedł z nią sam, odprowadzany głębokimi ukłonami sanitariusza i dwóch portierów.

4.

W biurze, gdzie pracował Berg, wiadomość o nieszczęściu, jakie go dotknęło, rozszerzyła się błyskawicznie i wytworzyła około jego osoby atmosferę przyciszonych szeptów i milczącego współczucia.

Towarzystwo Elektrowni Miejskiej, którego Berg był jednym z dwunastu inżynierów, zaproponowało mu urlop miesięczny. Berg propozycję odrzucił. Stawał do pracy po dawnemu bardzo wcześnie. Wieczorami nigdzie go nie widziano. Koledzy, którym przyszło do głowy odwiedzić go w tych godzinach, znaleźli na drzwiach kartkę: „Nikogo się nie przyjmuje.”

Wiedziano, że u Izoldy nie był od owej wizyty w klinice ani razu i tłumaczono to sobie na różne sposoby. Poza tym zresztą w obejściu był po

dawnemu zupełnie normalny, rozmawiał i uśmiechał się. Z czasem zaczęto sądzić po prostu, że miłość jego do Izoldy nie była znów tak wielką. To przeświadczenie przyjęło się z czasem powszechnie. Wkrótce przestano się już nim zajmować. Na ogół ludzie otaczający go mieli do niego nawet jakby nieuchwytny żal za to, że tak łatwo pogodził się i zapomniał.

5.

Były to nogi wyzywająco białe i przedziwnie długie. Zakończone maleńką, wąską, wysoko sklepioną stopą, dostatecznie wysmukłe w pęcinach, wybuchały w nieskazitelnie modelowane podudzie, bardzo wysokie, twarde i jędrne. Od drobnych maleńkich kolan udo białe, o aksamitnym połysku pokryte było całe siecią ledwie dostrzegalnych niebieskich żyłek, nadających kobiecemu ciału powagę marmuru. Drobne stopy tonęły jeszcze w płytkich, lakierowanych pantofelkach, a czarne, jedwabne pończochy okalały je powyżej kolan, podobnie jak w momencie, kiedy jeszcze unosiły swą właścicielkę. Amputacja nastąpiła tak szybko i musiała być przeprowadzona tuż poniżej pachwiny, że nie było potrzeby całkowitego ich obnażania. Umieszczone na kozetce i przerzucone niedbale jedna przez drugą, u góry otulone obficie pledem robiły wrażenie żywych kończyn śpiącej, przykrytej kobiety.

Berg przesiadywał nad nimi całymi godzinami. Znał każdy mięsień i nazywał go po imieniu. Przesuwając ręką wzdłuż *quadriceps cruris*, pieścił lekko palcami wewnętrzną stronę uda, w tym miejscu, gdzie pachwinę łączy z kolanem wąski, ledwo dostrzegalny mięsień *gracilis*, znany także pod nazwą *defensor virginitatis*, najslabszy z wszystkich mięśni nogi kobiecej. Cała jego bolesna miłość do Izoldy skoncentrowała się teraz na jej nogach. Godzinami leżał na kozetce, przytulony wargami do miękkiej, pachnącej skóry zaróżowionych ud, jak dawniej, kiedy pieścił je, gdy były jeszcze własnością tamtej. O samej Izoldzie myślał bardzo rzadko. Ściślej biorąc, nie myślał wcale. Scena w klinice nie pozostawiła mu nic prócz uczucia obcości i obrzydzenia. Co go mogła właściwie obchodzić tamta oderwana połowa kobiety, bezkształtny kadłub ohydny i tragiczny. Przytulony w słodkim wyczerpaniu do cudownych jej nóg, które teraz niepodzielnie posiadał, czuł się zupełnie szczęśliwym.

To, że nogi Izoldy po dwóch tygodniach były równie różowe i świeże jak pierwszego dnia po operacji, było dla niego rzeczą zupełnie naturalną. Czegoś przeciwnego nie byłby w stanie nawet pomyśleć. Wydałoby mu się to takim samym nonsensem, jak gdyby ktoś usiłował twierdzić, że Nike Fidiaszowej grozi rozkład, ponieważ brak jej głowy. Zresztą były to przecież po dawnemu nogi kobiety żywej, oddzielone od reszty przez prosty przypadek, nieprzystające przez to być nadal jej częścią organiczną, połączoną na zawsze z tą żywą jednością nierozzerwalnej osobowości.

6.

Godzina 12 w nocy. Berg ma tej nocy dyżur w elektrowni. Właściwie mógłby siedzieć w swoim pokoju na górze, jednakże gdzieś (tam głęboko) boi się samotności, chociaż myśli tej nie pozwala się uświadomić.

Jasne światło lamp, rytmiczny turkot maszyn działają sennie i kojąco.

Berg przechodzi kolejno między dwoma rzędami rozpędzonych maszyn.

Świst wirujących szprych i łoskot dźwigni.

Muzyka rozpalonej stali.

Wpatruje się przez chwilę w wirujące koło, ale doznaje lekkiego zawrotu.

Za chwilę przyciąga jego uwagę ogromny tłok wznoszący się i opadający z jednostajną dokładnością. Wydobywa się z niego głucho zmęczone sapanie. Bergowi przychodzi na myśl akt płciowy. Przypatruje się prawie z przerażeniem, jak olbrzymi tłok spada i podnosi się niezmordowanie. Maszyna spółkuje.

— Dlaczego one jednak same się nie rozmnażają — mówi Berg i czuje zimne mrowie wzdłuż kręgosłupa. — Dzikie, bezpłodne zwierzęta — rzuca, nie oglądając się za siebie i przyspiesza kroku.

Ale końca alei nie widać. Z prawej i z lewej strony opuszczają się i podnoszą w szalonym rozpędzie dźwignie. Berg czuje powiew twardej, bezwzględnej nienawiści, jaki wieje na niego od maszyn. Odwieczna nienawiść pracownika do swego eksploatatora. Czuje się maleńkim i bezradnym w otoczeniu tych żelaznych istot, oddany im na pastwę. Chce krzyknąć i opanowuje się ostatkiem świadomości.

— Nienawidzą mnie — myśli jasno — ale są przytwierdzone i nie mogą mi nic zrobić.

Ażeby samemu sobie pokazać, że się nie boi, zatrzymuje się przed jedną z maszyn i przygląda się jej przez chwilę drwiąco.

Obrót kół jest tu trochę wolniejszy, jakby leniwy. Zwierzę przyczaiło się i czyha. Berg uczuwa nagle nieprzewartą ochotę dotknięcia ręką szprychy. Nie może oderwać oczu od stali suwaka.

— Tylko dotknę i zaraz cofnę — myśli wyraźnie.

Chce się oderwać, uciekać i nie może. A koło zdaje się obracać coraz wolniej, coraz leniwiej... Olbrzymia ręka szprychy wydłuża się, wydłuża... Czuć jej zimny powiew. Za chwilę dotknie jego twarzy. Jezus Maria!!

Berg czuje nagle ostry ból w ramieniu. Czyjeś kościste palce odrzucają go z niepojętą siłą w bok i słyszy twardy, chropowaty głos, jak głos trąby jerychońskiej:

— Ostrożnie! Byłby Pan wpadł w maszynę.

Widzi nad sobą okopconą twarz robotnika, duże niebieskie oczy, wpatrzone w niego spod zmarszczonych brwi.

— Niech pan idzie na górę spać, my tu już sami dopilnujemy — mówi głos z tym samym akcentem rozkazującym, wobec którego Berg czuje się bezwolnym i słabym jak dziecko.

Silna koścista ręka przeprowadza go, unosząc prawie, przez halę i puszcza na podwórzu.

— Dziękuję — mówi cicho Berg i widzi nad sobą ogromną, czarną twarz nieba, całą w pryszczach gwiazd.

7.

W tydzień po tym zajściu, Berg wyszedł wcześniej niż zwykle z elektrowni i skierował się w przeciwległą stronę miasta.

Złoty jesienny dzień pachnie hibiskusem. Nieskończony spokój powietrza niepokoi i przeraża. Wszystko jest zaspane, nieruchome, żadna gałąź nie drgnie, tylko w tej ciszy śmiertelnej, jeden za drugim, odrywają się liście i spadają na piasek długą, kolistą serpentyną. Nieruchoma poezja jesieni.

Spadają suche liście,
spadają wolno, rytmicznie,
szelestnie, aksamitnie po ziemi się ścielą
przerażone powietrza śmiertelną martwością.

Nad chrząstką ich pościelą
czerwoną, liliową, złotą
słońce zachodzi powoli
melancholijnie, anemicznie.

Przed chwilą wpadł w tryby największej maszyny starszy mechanik Ginter. Kiedy go wyciągnięto, był już jedną bezkształtną masą. Dla Berga wspomnienie to jest nieprzyjemne i stara się o nim nie myśleć.

Od pamiętnej nocy przed tygodniem, świadomość nieustającej i nieustępliwej wrogości wzrasta z każdym dniem i Berg nie może się z niej otrząsnąć. Ilekroć wypadnie mu przejść przez halę, robi to zawsze bardzo szybko, nie oglądając się na strony. Powiew tępej, bezsilnej nienawiści, jaki wieje z hali maszyn, napełnia go zimnym, niewypowiedzianym przerażeniem. Patrzy w twarze robotników i stara się wyczytać z nich potwierdzenie tego samego uczucia, ale twarze są zamknięte i patrzą hardo i ponuro. Od jakiegoś czasu prześladowuje Berga myśl, że ci ludzie, pracujący tutaj od kilku lat, muszą być wszyscy obłąkani. Chwyta siebie na tym, że śledzi ich ruchy i stara się nimi potwierdzić swoje przypuszczenie. Kiedy wypadnie mu zamienić parę słów z robotnikiem, czuje, że się miesza i musi skończyć czym prędzej rozmowę.

— Żeby tylko samemu nie zwariować — myśli Berg i zaraz potem przesuwa się plan zmiany posady.

Tak, tak będzie najlepiej. Przeniesie się, weźmie sobie pracę biurową. To go z pewnością uspokoi.

Nagle słyszy za sobą nieludzki świst. Przelatujące auto zaczepia go wachlarzem i odrzuca na trotuar. Słyszy z wewnątrz sypiące się przekleństwa.

Jest zupełnie wytracony z równowagi. Musi się oprzeć o drzewo, żeby skupić myśli. Strach duszony w głębi skrada się i zagląda mu w oczy.

— Trzeba to przemyśleć, przemyśleć — powtarza Berg i jednocześnie czuje, że właściwie wszystko jest już za niego z góry przemyślane. Wyjścia nie ma. Przed chwilą w śmiesznej naiwności wydawało mu się, że wystarczy zmienić posadę, aby odgrodzić się od nienawiści maszyny. Teraz widzi, że maszyna czyha na niego wszędzie. Każdy krok jego uzależniony jest od maszyny.

Berg czuje się nagle osaczonym. Wszystkie maszyny, oglądane kiedykolwiek, wypełniają z zakrętów świadomości i otaczają go żelaznym pierścieniem. Jak słaba nitka światła z tego labiryntu, majaczeje w nim krzyk, imię: Izolda!

Rozgląda się. Jest gdzieś daleko w nieznanej okolicy. Czuje dopiero teraz, że jest bardzo zmęczony. Trzeba wracać do domu.

Nadchodzi tramwaj. Na jego widok Berg wzdryga się. Chce mu się krzyczeć. Patrzy w twarz pasażera z prawej strony. Jest dobroduszną, spokojną i zadowoloną, jak maska. Nagle pod naporem wzroku Berga maska pęka na dwoje potworną szczeliną uśmiechu i Berg widzi na chwilę czerwoną, otwartą paszczę szaleństwa o kilka centymetrów od swojej twarzy.

8.

Coraz dziwniejsza atmosfera panuje w elektrowni. Niedostrzegalne szepty pomiędzy robotnikami od czasu tragicznej śmierci Gintera przeszły w cichy pomruk. Mówią o strajku.

Berg coraz częściej natyka się w hali maszyn na rozsypujące się na jego widok grupki robotników. Na drzwiach elektrowni wisi od dwóch dni mała kwadratowa odezwa, której nikt nie zdziera.

Berg długo płakał tej nocy z twarzą na nogach Izoldy. Nadszedł czas. Los wypycha go, dając mu w ręce rolę oswobodziciela.

9.

Hala maszyn jest czarna i ziele pustką. Berg, od chwili, kiedy zamknął za sobą drzwi, stoi oparty o ścianę i coraz słabiej uświadamia sobie, po co właściwie tu przyszedł. Odkąd zjawił się tu po raz pierwszy jako młodzieńki inżynier, nie widział nigdy tej hali milczącej i nieoświetlonej. Jest oszołomiony. W pierwszej chwili chce zapalić elektryczność, ale przypomina sobie, że elektryczności nie ma w całym mieście, ponieważ elektrownia nie funkcjonuje. To mu powraca świadomość. Stara się myśleć chłodno. Wyjmuje z kieszeni ślepą latarkę, którą specjalnie sobie przecież przygotował i zapala ją. Ostra smuga światła przecina mrok. Czarna próżnia wydaje się przez to jeszcze ciemniejszą. Jak czarne skrzydła gigantów wylaniają się z niej olbrzymie kontury kół.

Berg czuje, że jeżeli pozostanie tu jeszcze chwilę — rzuci się do ucieczki. Robi kilka kroków. Teraz porusza się już zupełnie mechanicznie. Za siódmym dynamem znajduje się tablica rozdzielcza. Droga jest dziwnie długa. Bergowi zdaje się, że już ją ominął. Trzeba wrócić. Podnosi latarkę. Widzi dopiero w tej chwili, że stoi pod samą tablicą. W ostrym świetle smugi, jak dwoje ślepiów, jarzą się oczy zegarów.

Berg wyjmuje z kieszeni pałta młot i pilnik.

Oczy zegarów wpatrują się w niego zimno i spokojnie. Ręka, w której ściska młotek jest chłodna i pewna. Teraz tylko dużo spokoju.

Oczy manometrów stają się dziwne i magnetyzujące. Bergowi przychodzi na myśl fakir, którego widział w cyrku, gdy ubezwładniał wzrokiem węża. Teraz czuje to, co czuć musiał wąż, który przyszedł ukłuć, a nie może się poruszyć spętany tym dziwnym wzrokiem. To trwa chwilę. Wtedy ostatnim wysiłkiem woli podnosi Berg nagle młot i z niepojętą dla siebie samą siłą uderza nim w tablicę.

Trzask pękającego marmuru rozwała ciszę.

Spokój jasny, ciepły, głęboki jak staw...

I nagle staje się coś niepojętego: Jasne bezbrzeżne światło oślepia go na chwilę. Czarne nieruchome koła zaczynają się obracać. Berg czuje nagle twarde uderzenie w głowę i upada, waląc twarzą o posadzkę.

10.

Na czwartej stronie jedynej, rozchwytej w ciągu godziny gazety, między komunikatami czernieje mała wzmianka *petitem*:

„...schwytany na gorącym uczynku sabotażu w chwili, gdy usiłował zniszczyć maszyny, poruszające elektrownię miejską, inżynier Witold Berg, postawiony zostanie przed trybunałem robotniczym”...

11.

Pusta, olbrzymia hala fabryczna zapełniona morzem ludzkich głów. Na środku zniesiona pospiesznie z kilku pak trybuna. Chudy, piegowaty student z białymi, mrugającymi rzęsami odczytuje bezbarwnie akt oskarżenia. Czarny, wylizany buchalter z dużym nosem przewraca wolno z namaszczeniem kartki brulionu. Piegowaty student podnosi od czasu do czasu głos, który rozlega się, jakby płacźliwie i wtedy wtóruje mu pomruk tłumu, jak wiatr przepływający przez halę.

Rozprawa dłuży się nudno i beznadziejnie. Właściwie wyrok jest już wszystkim wiadomy, chodzi tylko o przeprowadzenie przepisanych formalności.

Wreszcie student siada, wycierając nos chustką, a buchalter cienkim, metalicznym głosem zwraca się z nieokreślonym gestem w prawo:

— Proszę wprowadzić oskarżonego.

Głuchy pomruk przechodzi salą. Potem drzwi prawe otwierają się trochę za głośno i pod konwojem czterech uzbrojonych w mauzery robotników, wchodzi Berg. Tłum rozstępuje się trochę, aby dopuścić ich do trybuny.

Gwar rośnie i powoli zamienia się w hałas wrogich głosów.

Dzwonek.

Przesłuchanie trwa dalej.

Wskazówki zegara poruszają się z upartą, zółwią bezzadnością.

Nagle szmer wzmacza się i tłum głów, jak popchnięty, pochyla się w stronę trybuny. Na trybunie stoi Berg.

Jest bardzo blady, oczy mu biegają, jeden kosmyk włosów spadł na czoło. Ubrany jest bez zarzutu, w żakiet. Mówi głosem dźwięcznym, spokojnym, często zatrzymując się dla pochwycenia odpowiedniego wyrazu:

— Nastąpił dzień zemsty. Świadomy swoich celów proletariat staje do walki. Żeby walka była owocną, trzeba przede wszystkim uświadomić sobie, kto jest śmiertelnym wrogiem. Wystarczy tego wroga zniszczyć, a zło będzie usunięte. Takim wrogiem jest niewątpliwie burżuazja, ale nie jest to wróg zasadniczy. Wystarczy odebrać fundusze burżuazji, a powiększy się przez to o kilka milionów głów masa proletariatu. Sam problemat proletariatu nie zostaje przez to rozwiązany. Wróg jest inny, bliższy, z którym robotnik styka się codziennie, przy pracy, który niespostrzeżenie pochłania jego siły, zdrowie, a niekiedy i życie. Wrogiem tym jest maszyna. Nie darmo cywilizacja burżuazyjna szczyli się maszyną, jako największą zdobyczą, która dostarcza jej miliona udogodnień. Ale sądząc, że wymyśliła w maszynie jedynie nową broń do walki z żywiołem i nowy sposób wyzysku proletariatu, burżuazja omyliła się. Maszyna rozrosła się jak pasożyt, przegryzła się we wszystkie zakątki życia; z narzędzia staje się powoli jej panem. Burżuazja opanowana jest już całkowicie przez maszynę i nie może się bez niej obejść. Ale robotnik zawsze nienawidził maszyny. Od samego początku była ona dla niego nędzą i przekleństwem. Dziesiątki tysięcy bezrobotnych, tysiące śmierci i okaleczeń, wdowy i sieroty bez chleba — oto czym jest dla robotnika maszyna. Teraz, gdy nastał czas walki otwartej i zwycięskiej, zadanie proletariatu leży tutaj: oswobodzić ludzkość od maszyny. Należy zniszczyć maszynę, zniszczyć natychmiast, jeżeli nie chcemy, aby ona nas zniszczyła.

Berg w tej chwili jest piękny. Rumieńce palą mu się na twarzy, a włosy zasypują czoło.

Trochę braw, długa niezdecydowana cisza. Berg schodzi z trybuny.

Od stołu wstaje piegowaty student. Jest przestraszony. Mruga szybko oczkami. Mówi głosem prędkim, rozgniewanym:

— Wydaje mu się, że inżynier chciał sobie po prostu zadrwić z trybunału, ale brawa jakie słyszał (zwrot niezdecydowany w stronę) zmuszają go do

odpowiedzi. Niszczenie maszyn, które są dobytkiem kulturalnym całej ludzkości, a więc i proletariatu, byłoby powrotem do barbarzyństwa. Maszyny służą zarówno panom, jak i robotnikom. W jaki sposób proletariat obejdzie się bez maszyn? Przecież i tramwaje, i wodociągi, z których korzysta każdy, to też maszyny.

Berg nie słyszy do końca. Wychodzi przez tłum na ulicę. Ludzie rozstępują się przed nim. Deszcz pada drobny, jesienny, zamazany, jak płacz. Berg czuje, że go coś dławi za gardło. Cała jego mowa i apel wydają się śmieszną parodią. Po co? Przecież oni są tacy sami jak tamci, tylko trochę mniej „inteligentni”. I zresztą za późno.

12.

W parę dni później, gdy wybuchł strajk generalny, Berg wyszedł rano na ulicę. Dzień był jasny, słoneczny. Cisza zalegała place. Tramwaje nie kursowały. Berg wyszedł na najszerszą aleję i szedł w górę. Ulice pulsują dziwnie, jak pijane. Z wszystkich bram wygląda niepokój. Cisza staje się ciężka. Wszystko przyczaiło się, jakby w oczekiwaniu czegoś, co ma się zdarzyć. Berg przyspiesza kroku. Niesamowita cisza zaczyna go męczyć. Chce wrócić do domu.

Na rogu ulicy ktoś chwyta go za ramię. Jasne, niebieskie oczy i czapka z daszkiem gdzieś widziane. Mechanik z elektrowni.

— Słyszałem was na sądzie — mówi jasnym, okrągłym głosem. — Nie wszystko tam zrozumiałem, ale mówiliście, że nadchodzi czas, że maszyny będą nami rządzić, a nie my nimi. A widzicie, jeden nasz ruch i wszystko stoi. I cisza taka, jak przed stworzeniem świata. Cóż wy teraz?

Cały pachnie, bije od niego słońce, radość, moc: My! My!

Berg patrzy mu w twarz i bierze go szalona ochota wydrzeć mu tę jego radość i zobaczyć w tych okrągłych oczach zwierzęce przerażenie.

Idą trotuarem w stronę bramy tryumfalnej. Berg mówi:

— Właściwie teraz już jest wszystko jedno. Nie zrozumieliście duszy maszyny, wy którzy staliście jej najbliżej. A to takie proste. Duszą maszyny jest pęd, *perpetuum mobile*. Jedynym zaś powietrzem, jakim my możemy oddychać jest właśnie ograniczoność. Konsekwencje są jasne. Zaszczepiliśmy sobie śmiertelną szczepionkę, która nas powoli całych opanowuje.

Zbliżamy się do końca z matematyczną dokładnością. Wkrótce wszystko dookoła nas zastąpią maszyny. Będziemy się poruszali wśród maszyn. Każdy nasz ruch czynimy zależnym od maszyny. Oddajemy broń. Zdajemy się zupełnie w ręce obcego, wrogiego nam żywiołu. Obręcz żelaznego wysiłku nerwów, która utrzymuje jeszcze nad nimi naszą hegemonię, musi lada chwila pęknąć. Wtedy pozostaje walka, albo obłęd. Na razie nikt tego nie widzi, nie rozumie. Jesteśmy zaślepieni swoją mocą. Wyjścia nie ma. Osaczyliśmy się ze wszystkich stron sami. I zresztą to już jest w nas. Wy bez maszyny żyć już nie potraficie. Przodkowie wasi może by jeszcze potrafili. Wy już nie. Bronić się

nie można. Trzeba czekać. Trucizna jest w nas samych. Zatruliśmy się własną mocą. Lues cywilizacji.

— Do widzenia! — nachylił się nagle do ucha mechanika, ściskając mu raptownie rękę. Ja w tamtą stronę...

13.

Pewnego późnego wieczora, kiedy dyżurny urzędnik policji X komisariatu układał się właśnie na spoczynek, w komisariacie zjawił się śmiertelnie blady człowiek z błyszczącymi oczami. który przedstawivszy się jako Witold Berg, inżynier elektrowni miejskiej, zameldował, że skradziono mu nogi. Domagał się przy tym kategorycznie natychmiastowego wyznaczenia mu do pomocy kilku agentów i zaznaczał, że czekać nie może ani chwili.

W komisariacie obecnych było zaledwie dwóch ludzi, dyżurny urzędnik oznajmił mu zatem bardzo grzecznie, że musi się chwilkę zatrzymać, ponieważ ludzi na miejscu nie ma, można dopiero po nich zatelefonować. Przybyły oświadczył, że czekać ani chwili nie może i że skoro nie mogą mu udzielić pomocy w tym komisariacie, uda się do innego.

Dyżurny urzędnik starał się go zatrzymać wszelkimi możliwymi argumentami. Wrócił urzędnik, który telefonował i oznajmił, że najdalej za trzy minuty agenci będą na miejscu.

Przystąpiono do spisywania protokołu.

Nie zdołano jednakże wydobyć od nieznanego nic więcej ponad to, że dziś wieczorem, kiedy był nieobecny w mieszkaniu, skradziono mu nogi.

Na samo wspomnienie przybyły drżał na całym ciele i chciał biec. Z trudem udało się go zatrzymać.

Przedłużono indagację. Wreszcie na schodach dały się słyszeć kroki.

— Otóż i oni — powiedział przyjaźnie dyżurny — niepotrzebnie się pan niepokoił.

Weszło sześciu barczystych ludzi i stanęło po obu stronach drzwi.

— Ludzie są do pańskiej dyspozycji — powiedział urzędnik — Pan będzie łaskaw wskazać im drogę.

Berg uściśnął na pożegnanie rękę komisarza, którą ten mu podał z wielką skwapliwością i wyszedł przodem. Ale nie przestąpił jeszcze progu, gdy nagle uczuł na sobie dwanaście silnych rąk, które powaliły go na ziemię. Próbował się wyrwać, szamotał się, gryzł, tarzał się z nimi po ziemi, kilka razy udawało mu się nawet oswobodzić, ale wreszcie opadał ogłuszony i skrępowany. Czuł, że płynie gdzieś w dół po spadzistej płaszczyźnie; potem na chwilę owiało go wilgotne jesienne powietrze. Wreszcie uświadomił sobie, że wciskają go w jakieś ciasne szczelnie zamknięte pudełko. Pokrywa pudełka zatrzasnęła się. Berg stracił przytomność.

Urzędnikom dyżurnym X komisariatu nie sądzonym było widocznie spać tej nocy. Zaledwie ucichły kroki na dole, zawiadomiono telefonicznie komisariat, że przy ul. N. pod numerem 14 otruła się kwasem siarczanym

korespondentka Izolda Morgan, która przed dwoma miesiącami utraciła w wypadku tramwajowym obie nogi.

14.

Kiedy ocknął się, było zupełnie jasno. Przez niewielkie okratowane okno umieszczone w górze padało białe, oślepiające światło księżyca. Pokój był mały i nieumeblowany. W snopie białego światła mieniły się kamienne kostki podłogi.

Wstał lekko i elastycznie. Dopiero teraz zauważył, że jest skrępowany. Bez najmniejszego wysiłku zdjął z ramion dziwaczny kaftan i cisnął go pod łóżko.

Księżyc świecił jasno i jednostajnie.

— Pójdę na ulicę — pomyślał Berg i zbliżył się do drzwi. Drzwi jednak nie miały klamki i były zamknięte. Wtedy podszedł wolno do ściany, odsunął ją lekkim wysiłkiem i wyszedł.

Na ulicy pochłonał go zaraz rozgorączkowany, pędzący w którąś stronę tłum. Szedł popychany przez szerokie, jasno oświetlone ulice, których nie znał. Księżyc świecił jak wielka żarowa lampa, rzucając chłodne, silne światło.

Na rogu jakiejś ulicy uczył pod ramieniem swoim czyjaś drobna ręka. Obejrzał się. Szła obok niego szczupła, młoda dziewczyna o miłej dziecięcej twarzy i długich, ciemnych rzęsach. Nie mówili do siebie nic. Na następnym rogu dziewczyna skręciła. Szedł za nią posłusznie, nie zadając sobie trudu myślenia, dokąd idzie. Przeszli tak jedną ulicę. Na następnej dziewczyna wprowadziła go do czarnego, olbrzymiego domu, oświetlonego słabo lampką naftową. Wszedł po wąskich, drewnianych schodach na drugie piętro. Otworzyła drzwi kluczem.

W szczupłym, czysto umeblowanym pokoju posadziła go na łóżku i zaczęła się rozbierać. Kiedy zdjęła koszulę, zobaczył, że ma maleńkie, bardzo białe i jędrne piersi i szerokie, ładnie wykrojone biodra. Przypomniał sobie, że od dwóch miesięcy nie miał żadnej kobiety. Wziął ją łapczywie, tak jak ludzie biorą chleb w czasie głodu. Biodra miała miękkie i elastyczne, jak sprężynowe; podnosiły się i opadały rytmicznie, tak, że można było pozostawać nieruchomym, a akt odbywał się sam przez się. Brał ją jeszcze i jeszcze. Kiedy zmęczony wyciągnął się na poduszkach, zaczęła się ubierać. Wtedy zobaczył, że nie ma pieniędzy. Powiedział jej. Nie gniewała się. Ubrała się szybko. Powiedziała mu, że musi jeszcze iść. Wyszli. Przed bramą rozeszli się w różne strony.

Ulica, którą szedł Berg, była szeroka i pełna ludzi. Wszyscy biegli szybko, jakby zdenerwowani czymś, w jedną stronę. Aby nie być potrącanym, Berg zeszedł z trotuaru i szedł dalej ulicą. Myślał o dziwnej kobiecie, którą przed chwilą posiadał i o jej niepojętych biodrach. W pewnym momencie usłyszał za sobą przeciągły, złowrogi zgrzyt. Obejrzał się. Tuż za nim jechał tramwaj. Dotykał już prawie jego pleców. W tej chwili dopiero Berg uświadomił sobie, że idzie środkiem białych, wyslizganych szyn. Zaczął biec,

ile mu sił starczyło. W bok nie mógł. Wiedział z jasną dokładnością, że jeżeli tylko postawi nogę na szynie, — poślizgnie się i tramwaj przejedzie po nim. Biegł wprost przed siebie wzdłuż szyn, z szybkością dla siebie samego niepojętą, słysząc tuż za sobą złowrogi śpiew ścigającego go tramwaju. Próbował krzyżeć — bez skutku. Zaraz, musiał tu być przecież gdzieś przystanek... Ale przystanku nie było. Wreszcie zamajaczył w oddali. Berg wytrzymał wszystkie siły. Byle dobiec. Dobiegł.

Ale tramwaj na przystanku nie stanął i pędził dalej z niezmienną szybkością. Tak minęli jeden przystanek, potem drugi. Nagle Berg poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie, a nogi odmawiają posłuszeństwa. W mózgu zamajaczył mu nagle stary, wytarty, kiedyś napisany ośmiowiersz:

To się stanie jednego popołudnia, czy ranka,
niespodzianie, zwyczajnie, tak, jak wszystko się staje,
zobaczycie, że naraz na narożnych przystankach
nie przystaną łoskotem mijające tramwaje.
Będą pędzić w podskokach, przeskakując z szyn w szyny,
długie szyje poprzecznie przewylocą, jak nurki,
zasapane, czerwone, ogłupiałe maszyny
18-tki, 16-tki, 19-tki i 4-ki...

Obejrzał się — tramwaj dotykał jego pleców. Na oświetlonej tarczy miał 18.

Mijały ich tramwaje. Na tylnym pomoście jednego Berg zobaczył opartą lekko o poręcz Izoldę, która powiewała mu chustką.

Wtedy ostatnim wysiłkiem uczeplił się oburącz wystającego ślepiec latarni i zawisł w powietrzu.

Koło niego leciały jedne za drugimi długie, oszalałe tramwaje, pełne białych, obłąkanych z przerażenia ludzi.

KONIEC

Bruno Jasiński
Nogi Izoldy Morgan

Redakcja: *Hanna Milewska*
Zdjęcie na okładce: *Andrzej Milewski*

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2019

Warszawa 2019

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl